

**Sierpniowy urlop 2003 roku mieliśmy spędzić w gorącej Italii. Jechaliśmy na Półwysep Apeniński z nadziejami na wspaniałe wakacje, w poszukiwaniu nowych miejsc i smaków, żądni wrażeń, przygód i wiedzy o wspaniałych zabytkach, z chęcią poznawania ludzi i ich kultury.**

Punktem zaczepienia było wykupienie 6 tanich noclegów z oferty internetowej, gdzieś w pensjonacie niedaleko Wenecji. Dojazd własną naszą Skodą Felicją Kombi dawał nam też możliwość zwiedzenia innych włoskich atrakcji, więc planowaliśmy, oprócz Wenecji oczywiście, zajrzeć także do Pizy i Rzymu, a może również do Florencji i Bolonii.

Zobaczymy po drodze czy nam się uda zrealizować ten ambitny plan. Jedziemy w dwie pary oraz nasza 6-letnia córka, co ma duże znaczenie, jeśli chodzi o tempo jazdy, liczbę przystanków i wiele innych spraw. Podróż z dzieckiem to przyjemność dla rodziców, ale także potrzeba odpowiedniego zaplanowania podróży. Na szczęście mała Kasia jest dzielnym podróżnikiem, dzięki czemu sprawnie zmierzamy na południe Europy.

Za kierownicą zmienialiśmy się z moim młodszym bratem. Nie zatrzymywaliśmy się po drodze na zwiedzanie, a jedynie na krótki odpoczynek, toaletę i posiłki, bo naszym celem było jak najszybsze dotarcie do celu. Do Porto Santa Margarita Di Caorle dojechaliśmy po trwającej ok. 15 godzin podróży przez Czechy i Austrię. Na kwaterze mieliśmy do dyspozycji dwa skromne pokoje z kuchnią i łazienką, ale było tak duszno, że spaliśmy na balkonie, bo wysiadła klimatyzacja.

Miasteczko Porto Santa Margarita Di Caorle to przytulna przystań nad Adriatykiem i doskonałe miejsce wypadowe do Wenecji. W dzień jest tu sennie, jakby czas się zatrzymał, a sjesta trwała nieprzerwanie. Dopiero wieczorem miasteczko ożywia się, w kawiarenkach zbierają się miejscowi i turyści, przy fontannach z tryskającą wodą bawią się dzieci. Niemal codziennie coś się tu dzieje. A to pokazy tańca na deptaku, a to przemarsz lokalnej orkiestry zagrzewającej do śpiewu i zabawy.

Tutejsza plaża jest czysta i bogata w ciekawe muszle jak porcelanki, stożki i rozkolce. Piasek jednak jest lekko szary, a niebo jakby zakryte jakimś całunem, co widać niestety także na zdjęciach. Nie dostrzega się tu całego kolorytu upalnego lata. Trudno powiedzieć dlaczego... może to przez ten niemiłosierny upał? Zajmujemy się wylegiwaniem się na plaży do zakończenia sjesty, ewentualnie opłukaniem się z morskiej wody w przyhotelowym basenie, wieczornym spacerowaniem po miasteczku, robieniem zakupów w sklepikach i na straganach, smakowaniem włoskiej kuchni w tawernach, oblewaniem się wodą w fontannach i zwykłym leniuchowaniem. Przecież po to tu właśnie przyjechaliśmy.

Czas poznać Wenecję oddaloną o kilkadziesiąt kilometrów. Wyjeżdżamy spokojnie po śniadaniu, nie spiesząc się zbyt. Mamy cały dzień na zwiedzanie i przejazd w dwie strony. Parkujemy na przedmieściach, gdyż obowiązuje zakaz wjazdu autem do miasta. Chyba nie tylko ze względu na jego zabytkowe walory, ale z prostego powodu, że rolę dróg pełnią w nim przecież kanały, a nasze auto amfibią raczej nie jest. Zostawiamy auto i kluczyki młodemu człowiekowi z obsługi parkingu jednocześnie zastanawiając się jak on ma zamiar go zaparkować na podwórzu pełnym aut. Okazuje się, że funkcjonuje tam system podnośników i platform pozwalający na parkowanie pionowe maksymalnie wykorzystując niewielką powierzchnię. Wymaga to oczywiście różnych przetasowań w układzie aut, ale coś za coś.

Wchodzimy w wąskie uliczki Wenecji zmierzając według naszej mapy do Placu Św. Marka. Niestety zaczyna dochodzić południe i upał staje się nie do zniesienia. Na szczęście co jakiś czas można się schłodzić pod hydrantem lub w fontannie oraz ugasić pragnienie z ulicznych kraników.

Idziemy krętymi, małymi uliczkami w spiekocie zakrywając głowy czym się tylko da, w obawie przed udarem. Mijamy liczne kanały podziwiając uwijających się gondolierów. Dostrzegamy jednak także fatalny stan wielu budynków, które nie wytrzymują warunków nieustannej wilgoci i stałego zalewania jesienią. Zdajemy sobie sprawę, że to urocze miasto, niewątpliwie jedna z większych turystycznych atrakcji Europy, na co dzień nie jest zbyt przytulne do mieszkania. Podobno ze względu na wzrost zagrożenia zawaleniem wielu budynków i podnoszenie się poziomu wody, miasto się wyludnia. Nie widać tego, co prawda, na ulicach pełnych turystów, ale to podobno smutny fakt.

Dochodzimy do Canale Grande, największego kanału w Wenecji wychodzącego wprost w morze. Podziwiamy piękny most, z którego roztacza się wspaniały widok na okolicę. Niesamowity jest ruch na kanale, po którym porusza się w różnych kierunkach setki jednostek pływających, łodzie motorowe, gondole, vaporetto (tramwaj wodny). Wygląda to na wielki chaos, jakby nikt nad tym ruchem na wodzie nie panował. Czasem słychać jakieś krzyki, czasem syrenę, klakson. Widzimy jak łodzie często wręcz stykają się burtami, a jednak aż dziw, że nie dochodzi co chwila do kolizji, jakby się mogło wydawać.

Niedaleko mostu na Canale Grande skuszamy się na pizzę w przyulicznym okienku, ale jak się okazuje to była jedna z gorszych decyzji tego lata. Tak okropnej pizzy nie jedliśmy nigdy. Zimna, ciasto jak zakalec, smakuje jak podeszwa, leee. Kończy mi się też film w aparacie, więc decyduję się na zakup na straganie jedynej dostępnej rolki kliszy marki Konica. Kolejny niefart, bo wszystkie zdjęcia, jak się przekonuję później w domu, wychodzą szare. To była dla mnie nauka, że należy się zawsze odpowiednio zaopatrzyć w niezbędne akcesoria, by uniknąć takich przykrych niespodzianek.

Spacerkiem docieramy do Placu Św. Marka, który robi niesamowite wrażenie. Naszą córkę od razu przyciągają wszędobylskie gołębie, a my zachwycamy się wspaniałą architekturą Pałacu Dożów, Bazyliki i dzwonnicy. Miłą niespodzianką sprawia też mój brat swojej narzeczonej wręczając jej właśnie tutaj pierścionek zaręczynowy. Ach, jakie to romantyczne ;)

Idąc dalej, obserwujemy ciekawą sytuację z panią z pieskiem w roli głównej. W Wenecji, jak wiadomo, praktycznie nie ma zieleni. Oprócz kamienic i kanałów, wszędzie są jedynie lampy i chodniki. Zerkamy jak elegancka pani z malutkim psiakiem, któremu na nieszczęście w takich nieprzyjaznych warunkach zachciało się załatwić, bez zażenowania wyciąga ze swej eleganckiej, białej torebki foliową rękawiczkę, w którą zbiera pozostawione na chodniku przez jej pupila nieczystości, po czym wyrzuca je do najbliższego śmietnika. U nas rzecz nie pomyślenia, a jednak tutaj wydaje się to oczywistością.

Sporo zostało nam do zobaczenia, ale upał i rozgrzane ciała, każą nam jednak myśleć o powrocie. Kupujemy jeszcze wachlarze i weneckie maski na pamiątkę. Robimy sobie parę fotek z wystającymi do zdjęć przebierańcami rodem z filmów o Casanovie. Pytamy się też o możliwość przepłynięcia gondolą, ale okazuje się, że nasz budżet tego nie wytrzyma, bo chcemy jeszcze udać się na ponad tydzień do Toskanii oraz zwiedzić Pizę, Rzym i Watykan. Trudno nie można mieć wszystkiego naraz. To kolejny pretekst, poza słabymi fotkami na jakiejś podrabianej kliszy, by tu jeszcze kiedyś wrócić, może na festiwal filmowy lub słynny wenecki karnawał.

Po tygodniu spędzonym w rejonie Wenecji postanowiliśmy wybrać się na drugą stronę „kozaka”. Obowiązkowy przystanek po drodze do Toskanii robimy sobie w Pizie. Podziwiamy Campo dei Miracolo (*Pole cudów*), wielki plac wpisany na listę UNESCO, na którym znajdują się katedra, baptysterium i słynna krzywa wieża. Wokół przewija się tłum przybyszy z całego świata, aż ciężko zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Na straganach kupujemy małe wieżyczki na pamiątkę dla znajomych i ruszamy w dalszą drogę, bo jeszcze nawet nie wiemy gdzie będziemy nocować przez najbliższe dni.

Szukamy noclegu w nadmorskich miasteczkach. Trafiamy ostatecznie do miejscowości Cecina, gdzie kemping zlokalizowany jest pośród piniowego lasu nad brzegiem Morza Śródziemnego. Rozbijamy namioty i organizujemy sobie biwak. Zmierzamy też od razu na plażę, ale ciemny piasek nie robi na nas wrażenia. Mały wiaterek jednak skutecznie chroni nas od upału. Woda w morzu wydaje się niezbyt ciepła i dość słona. Córkę martwi też fakt, że nie ma tu też zbyt wielkiego wyboru muszelek jak koło Wenecji. Chyba większość już wyzbierana jest przez licznie odwiedzających ten rejon turystów.

Po kilku dniach okazuje się jednak, że więcej czasu spędzamy na kempingowym basenie niż nadmorskiej plaży. Poznajemy też bliżej miasteczko. Cecina to mała miejscowość z tak zwanym klimatem. Podobały nam się zwłaszcza uliczki z klombami kwitnących oleandrów, nadmorska promenada i marina. Wchodzimy też do punktu IT, gdzie pani z obsługi grzecznie prosi o wypełnienie krótkiej ankiety, po czym daje nam pakiet folderów i mapek, w większości po polsku. Oj, można by się od nich tutaj wiele nauczyć jeśli chodzi o promocję turystyki, ale to temat na oddzielny referat.

Zaczynamy poznawać też bliżej włoską mentalność. Zauważamy na przykład, że Włosi mimo upału uwielbiają aktywny wypoczynek i gry zespołowe, chyba dlatego mają mistrzowskie tytuły w wielu dyscyplinach sportowych. Boiska do piłki nożnej i siatkówki często były zajęte nawet w samo południe. Oczywiście też po ciężkim dniu i wysiłku Włosi kochają zabawę i dobrą kuchnię. A jak zabawa to musi być wino i śpiew. Nie każdemu się to jednak podobało. Widzieliśmy chociażby zirytowanych Niemców w kempingowych toaletach, którzy pod nosem szpetnie przeklinali, gdy musieli czekać dziesiątki minut aż Włosi się wyśpiewają pod prysznicami. Sympatycznie to wyglądało, gdy jeden z Włochów zapodawał w swojej kabinie tekst piosenki *Bella Maria*, a pozostali chóralnie dośpiewywali pozostałe słowa. I tak przez kilkanaście minut, by często zaczynać wszystko od nowa. Zabawa na całego, nawet podczas zwykłej kąpieli.

Po kilku dniach pobytu jesteśmy jednak trochę znudzeni kempingowym otoczeniem. Decydujemy się na szukanie jakiegoś mniej zatłoczonego miejsca na plażowanie gdzieś może w niedalekiej okolicy. Niestety podczas jazdy wzdłuż wybrzeża nasze auto odmawia posłuszeństwa i zwyczajnie nie chce zapalić po jednym z postojów. Musimy je zholować do najbliższego warsztatu, którego znalezienie było nie lada wyczynem, bo w sierpniu we Włoszech wszystko jest chiuso (zamknięte). Musimy czekać kilka godzin na naprawę, więc idziemy na pobliską, dziąką plażę położoną przy klifie. Widoki są niesamowite, a seledynowa, przejrzysta woda zachęca do kąpieli i snurkowania. Podziwiamy ciekawe, kolorowe ukwiały, kraby i rozgwiazdy. Bardzo liczne też są tutaj kolczaste jeżowce, na które koniecznie trzeba uważać, bo pokruszone, haczykowate kolce boleśnie tkwiące w ciele nie jest tak łatwo wyciągnąć. Mimo awarii samochodu, to było jedno z miłszych popołudni podczas naszego wyjazdu. Jak widać przypadki rządzą światem.

Niestety po powrocie do warsztatu okazuje się, że mamy padnięty alternator, a znalezienie odpowiedniego modelu do naszej Felicji graniczy z tutaj z cudem, zwłaszcza w sierpniu. Nasz ubezpieczyciel na infolinii też jest bezradny. Udaje nam się podładować jedynie akumulator i bez zatrzymywania wrócić na kemping. Tam pytamy w recepcji o pomoc i trafiamy na miejscowego specja od wszystkiego, któremu po dwóch dniach udaje się zdobyć stary, ale sprawny

alternator, co prawda do Skody Favorit, ale według jego opinii ma nam zapewnić przynajmniej dalsze poruszanie się autem po Italii i bezpieczny powrót do domu. Ufamy mu, więc decydujemy się kolejnego dnia na wypad do Rzymu. Kto nie ryzykuje ten w kozie nie siedzi.

Jazda się trochę dłuży, bo autostrada jest w remoncie, a miejscami funkcjonują tylko dwa pasy oddzielone betonowymi zaporami, co wymaga zachowania szczególnej ostrożności i bezpiecznej prędkości. Po przejechaniu 280 kilometrów, mijamy w końcu zwykłą tablicę informacyjną z napisem „Roma”, co nas trochę dziwi swoją normalnością, bo w końcu jesteśmy w Wiecznym Mieście i chyba oczekivalibyśmy czegoś niezwykłego już przy samym wjeździe. Parkujemy niedaleko monumentalnego Zamku Św. Anioła (Mauzoleum Hadriana), tuż nad Tybrem i ruszamy na długi spacer po stolicy Włoch.

Najpierw zwiedzamy Panteon, gdzie oprócz podziwiania grobowców znanych włoskich bohaterów, zastanawiamy się dlaczego przez otwór w suficie nie wpada deszcz? Jak się dowiadujemy ten centralny otwór, zwany *oculusem*, o średnicy 9 metrów, ma za zadanie oświetlać wnętrze, w którym nie ma żadnych okien. Słyszeliśmy wcześniej, że dzięki prawom fizyki i powstającemu ciśnieniu krople wody nie wpadają do wnętrza świątyni. Ale to tylko pogłoski, bo tak naprawdę podłoga na środku pod kolistym otworem w kopule jest lekko wklęsła, z widocznym odpływem do zbierania deszczu.

Przechodzimy na Plac Wenecki, zatrzymując się przy Forum Victorianum, przed którym stoi pomnik Wiktora Emanuela II na koniu. To władca, który zjednoczył Włochy pod koniec XIX wieku i dlatego na jego cześć wzniesiono tę dziękczynną budowlę. W latach dwudziestych XX wieku dobudowano do tego okazałego monumentu Grób Nieznanego Żołnierza i dziś miejsce to zwane jest też Ołtarzem Ojczyzny.

Dochodzimy do Kapitolu, gdzie czeka nas krótka lekcja historii. To twierdza i narodowe sanktuarium oraz swoisty symbol Rzymu. Znajduje się tu Muzeum Kapitolskie i galeria. Zatrzymujemy się też na chwilę przy obelisku słynnej wilczycy, karmicielki Remusa i Romulusa, by opowiedzieć przy tej okazji córce legendę o powstaniu Rzymu. Z tarasu za Pałacem Senatorów podziwiamy antyczne Forum Romanum, które dzisiaj zdaje się być jedynie ogrodzonym rumowiskiem z powiewem historii przenikającym resztki kolumn, ruin budynków i pozostałości ulic, ze słynną Via Sacrą (Świątą Drogą), którą kiedyś triumfalnie wkraczali do Rzymu bohaterowie Wielkiego Cesarstwa.

Ruszamy dalej w miasto, co jakiś czas przystając przy przepięknych fontannach, by się schłodzić i odsapnąć. Dochodzimy do Watykanu. Przed samym wejściem na teren tego niezależnego państwa kościelnego oglądamy dość ładnie wydany przewodnik po Rzymie w polskiej wersji językowej. Sprzedawca od razu się uśmiecha słysząc polską mowę, zachwala papieża

Polaka i wspomina też Zibiego informując nas, że dla ich rodaków ma specjalny rabat 7 euro, a gdy się zastanawiamy twierdzi, że dorzuci nam jeszcze pakiet widokówek. Dajemy się namówić wydając ostatecznie 15 euro, zamiast 22 według ceny wyjściowej. Zadowoleni z tego faktu udajemy się na plac przed Bazyliką św. Piotra. Tutaj, podobnie jak w Pizie, niezmiernie trudno zrobić zwykłą fotkę, bo kręcący się z miejsca na miejsce tłum turystów skutecznie to uniemożliwia.

Ustawiamy się grzecznie w długiej kolejce do Bazyliki pamiętając o założeniu długich spodni i okryciu ramion. Kto się na to nie przygotował może zakupić u handlarzy jednorazowe okrycie z materiału podobnego do bibuły. W księgarni przy wejściu polskie zakonnice sprzedają różne wydawnictwa, pamiątki i dewocjonaalia. Dostrzegamy też nasz niedawno zakupiony przewodnik, którego cena wynosi tutaj... jedynie 8 euro?! No to daliśmy się nieźle nabrać tamtemu kramarzowi tak kochającemu Polaków. Teraz wiemy już skąd te jego gorące uczucia do naszego narodu.

W samej świątyni największe wrażenie robią na nas podziemia z grobowcami papieży oraz przepiękna Pieta autorstwa Michała Anioła, niestety eksponowana za szybą. Po wyjściu z Bazyliki Św. Piotra przyglądamy się jeszcze przez chwilę gwardzistom szwajcarskim strzegącym Stolicy Apostolskiej i zmierzamy do Kaplicy Sykstyńskiej, która niestety jest zamknięta z powodu jakiegoś remontu. No cóż, nie będziemy mogli tym razem podziwiać słynnych fresków Michała Anioła. A to pech...

Ruszamy więc dalej w kierunku Koloseum. Odczuwamy powoli zmęczenie całodziennym spacerowaniem, od którego porobiły nam się odciski na stopach. Musimy odpocząć, więc wybieramy trawnik tuż obok słynnego amfiteatru, gdzie robimy sobie mały piknik, co nikogo tu nie dziwi. Niestety ze względu na duże kolejki i uciekający czas, nie decydujemy się na zwiedzanie Koloseum od środka. W zamian za to podziwiamy z zewnątrz arenę gladiatorów o zachodzie słońca zmierzając pod Łuk Triumfalny Konstantyna Wielkiego oraz dalej w miasto. Z wolna zapada zmierzch, a Rzym w wieczornym świetle wygląda zupełnie inaczej, jakby dostojniej. Ponownie mijamy Forum Victorianum, które dzięki iluminacjom prezentuje się tym razem jeszcze bardziej okazale.

Wieczorny spacer po Rzymie to prawdziwa przyjemność. Jest chłodniej, przyjemniej, pięknie oświetlone zabytki i fontanny wzbudzają zachwyt i podziw u najbardziej wybrednych turystów. Kierujemy się na Plac Hiszpański, gdzie przysiadamy na kilkanaście minut na słynnych Hiszpańskich Schodach o 138 stopniach, pod Kościołem Św. Trójcy, gdzie Rzymianie gawędzą i randkują. Podobno, zgodnie z przesądem, nie wolno tutaj jeść. Idąc dalej dochodzimy do Fontanny Di Trevi, najpiękniejszego ze wszystkich wodotrysków w Rzymie. Tu koniecznie trzeba wrzucić do wody pieniądze przez ramię, co zapewni powrót do

Wiecznego Miasta.

O tym, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu przekonaliśmy się, o ironio, w drodze powrotnej do Ceciny. Bez problemu dotarliśmy nie tak dawno do stolicy Włoch, ale wyjazd stąd okazał się koszmarem. Kręciliśmy się w kółko nie mogąc trafić na drogę wylotową na północ. W tej mrocznej malignie w pewnym momencie dotarliśmy na wzgórze, z którego roztaczał się przepiękny nocny widok na miasto. To taka mała nagroda za to błędzenie i stres. A może to los nas tu przywiódł, byśmy mogli to zobaczyć? W każdym bądź razie, dzięki zlokalizowaniu kilku znanych nam budowli mogliśmy określić mniej więcej nasze położenie i kierunek w jakim powinniśmy się poruszać, by wyjechać z miasta na właściwą drogę.

Po jakiejś pół godzinie byliśmy już na trasie do naszego kempingu w Cecinie. Mijaliśmy małe miasteczka, w których - mimo późnej pory - tętniło życie. Co ciekawe, gdzieś koło północy w jednym z nich po uliczkach spacerowali ludzie nawet z małymi dziećmi z lodami, jakby to było zwykle popołudnie. Co kraj to obyczaj. Większość moich pasażerów nie mogła jednak tego oglądać, bo drzemała w aucie odpoczywając po całodziennym trudzie zwiedzania miasta Cezarów.

Kilka ostatnich dni spędziliśmy korzystając z uroków pogody na plaży i w basenie, bo po wypadzie do Rzymu, na jakiś czas zaspokoiliśmy swoje potrzeby zwiedzania i poznawania nowych miejsc. Pewnie dlatego w drodze powrotnej do domu odpuściliśmy sobie zjazd z autostrady do Florencji i Bolonii, czego dzisiaj trochę żałuję. Coś trzeba przecież sobie zostawić na ten kolejny raz.

Zmęczeni dwutygodniową objazdówką po Włoszech nie mogliśmy sobie jednak odmówić jeszcze kilku dni urlopu nad Adriatykiem i odbiliśmy na Istrię, dotrzymując obietnicy danej sobie minionego lata, że na pewno wrócimy do Chorwacji. Tu przekonaliśmy się, że tak przeźroczystej wody nigdzie we Włoszech nie było nam dane oglądać. To chyba przez te skalne nadbrzeża. Wracając do domu znów obiecywaliśmy sobie, że tam znów musimy kiedyś pojechać.